

WYCHOWANIE RELIGIJNE W RODZINIE

Nad każdym pojęciem podanego tematu gromadzą się bardzo złożone problemy; chcąc je rozwikłać, należałoby postępować w stylu człowieka „uczonego”, który systematyzuje i wyjaśnia wielkie bogactwo pojęciowe odnośnych dyscyplin, poczynając od pedagogiki aż po teologię pastoralną i katechetykę, z których każda stara się wykorzystać dane socjologiczne i psychologiczne, dotyczące rzeczywistości rodzinnej oraz „religijnej socjalizacji” dzieci, by ukazać zasadnicze linie tego wzrostu ludzkiego i chrześcijańskiego, jaki Kościół uważa za właściwe swoje zadanie, a rodzice wierzący starają się w jakiejś mierze skutecznie i wyrazić w życiu rodzinnym¹.

Droga, jaką zamierzamy przebyć na tych kilku stronicach, będzie inna i o wiele mniej ambitna. Chodzi nam o dokonanie refleksji opartej i wynikającej z doświadczenia. A ponieważ zagadnienie może budzić pewne wątpliwości, nie będzie chyba rzeczą niecelową naszkicowanie założeń dotyczących znaczenia, granic i metody.

Z wielu względów nie jest rzeczą łatwą przekształcić własną rodzinę w doświadczalne laboratorium z zakresu nauk humanistycznych, jak to uczynił Piaget ze swoimi dziećmi². A to nie tylko dlatego, że — jak sądzi wielu — metoda naukowa musi, jako taka, ni-

¹ Niech mi będzie wolno z obszernej literatury przedmiotu podać jedynie krótki zarys bibliograficzny, który się zaczyna od bogatego (zwłaszcza w nowszą literaturę) przeglądu „Orientamenti pedagogici”, wydawanego przez uniwersytet salezjański w Rzymie, który już od lat zgłębia problematykę wychowania religijnego w konfrontacji z różnorodnymi dyscyplinami. Ważniejszymi dokumentami kościelnymi, poświęconymi specyficznej misji wychowawczej rodziny chrześcijańskiej są m. in.: *Matrimonio e famiglia oggi in Italia*, 1969; *Evangelizzazione e sacramento del matrimonio*, 1975; *Evangelii nuntiandi*, 1975; *Evangelizzazione e ministeri*, 1977. Nowsze całościowe ujęcia w: G. Gatti, *Il ministero catechistico della famiglia nella Chiesa*, Bologna 1978; D. Tettamanzi, *Il ministero coniugale. Spazio pastorale della coppia cristiana*, Roma 1978; *Il ministero coniugale nella teologia e nella pastorale oggi*, w: *Rassegna di Teologia* 2 (1978) 81-98. Syntezę obszernego materiału opracowanego przez „Fédération Internationale pour l'éducation des parents” w ostatnich latach zob.: E. Crocever, *Genitori e funzione educativa*, w: *Il Regno, Attualità* 4 (1978) 85-92. Wśród publikacji wydanych staraniem Dora Ciotta przez grupę „Famiglia Aperta” zob.: *Riscoperta della maternità-paternità*, Torino 1979. Publikacje „Equipe Notre-Dame” można znaleźć w: *Corso Cosenza*, 39, 10137 Torino.

² Por. E. Damiano, *Piaget*, Brescia 1976.

szczyć spontaniczność życia, ale że bardzo rzadkie są te cechy (właściwości, przymioty) naukowe i ludzkie, które by pozwoliły zebrać owoce doświadczeń bez zakłócenia, bądź też wyjałowienia życia rodzinnego i bez uzależnienia się od niego.

Trudność ta skłania wielu do zachowywania postawy niezależnej, co prowadzi do niebezpieczeństwa pewnego wyobcowania połączonego z oddzieleniem płaszczyzny przeżywanego doświadczenia od płaszczyzny naukowej refleksji; owocem takiej postawy są teorie, które się ukazują w gruncie rzeczy jako mało prawdopodobne i niezbyt się nadające do wyjaśnienia, zwłaszcza zaś ulepszenia życia codziennego, w obliczu którego człowiek uprawiający nauki humanistyczne może — w ostatecznej analizie — usprawiedliwić przed samym sobą własną fatygę, chyba że ją pojmuje jako ćwiczenie czysto abstrakcyjne, względnie „zawodowe” w mniej odpowiednim tego słowa znaczeniu.

Propozycja dotycząca metody

Dlatego też nie będąc wcale Piagetami wyposażonymi w naukową metodę „indagowania” własnych dzieci w bardziej istotnych w jakiejś mierze w ich życiu, albo raczej, dotyczące naszej z nimi doświadczenia, odnotowując chwile i wydarzenia zaznaczające się w jakiejś mierze w ich życiu, albo raczej, dotyczące naszej z nimi współpracy, nie tylko ze względu na radość, jaką daje przypominanie sobie czegoś więcej, aniżeli samych tylko pucołowatych twarzączek uśmiechających się z albumów fotograficznych do tatusiów i mamus wtedy jeszcze młodych, ale także po to, by móc dysponować „żywym” materiałem, do którego można będzie jeszcze wciąż powracać, i mieć możliwość ponownego przemyślenia własnych przeżyć na płaszczyźnie kategorii i zagadnień ciągle nowych, wzbogacając w ten sposób własne „dziedziectwo pedagogiczne”, niezależnie od jego zwartości, szczepem własnej „historii wychowania”.

Jeżeli pedagogia, podobnie jak filozofia w ujęciu hegeliańskim, „powstaje wieczorem” w tym sensie, że zakłada jakiś dzień życia, nad którym się zastanawia, nie musi być wcale rzeczą anegdotyczną i czysto subiektywną wypracowanie własnego „dziennika pokładowego”, stanowiącego „punkt odniesienia” dla danych wynikających z doświadczenia i dla teoretycznej systematyzacji, jakimi mogą dysponować przedstawiciele „nauk humanistycznych”.

Między prostą „wymianą doświadczeń” wśród przyjaciół a uczoną konferencją istnieje w rzeczy samej droga pośrednia, polegająca na *zastanawianiu* się nad doświadczeniami i na *ponownym przeżywaniu* refleksji poprzez podawanie im oparcia wynikającego z własnych przeżyć.

Na tym etapie dziejów, kiedy to utrwalone wzorce kulturowe chwieją się trwożliwie nie dostrzegając z należytą jasnością nowych horyzontów, odwołanie się do przeżyć konkretnych rodzin może wnieść do zasad pedagogicznych i katechetycznych jakiś nieoczekiwany wkład nowości i świeżości: problemy, pomysły, śmieszne, groteskowe sytuacje, bezradność czy zakłopotanie, nieoczekiwane rozwiązania — wszystko to, co składa się na dzieje rodziny, jeżeli tylko umie się to „wydobyć” w ramach dialogu prowadzonego między rodzinami a „domową pastoralną” (teologią duszpasterską domu), może nadać nowy doping życiu wiary, które bywa nierzadko oblegane przez wrogi mu świat i dlatego nie uświadamia sobie własnych wartości.

Właśnie w tym duchu, ubogaconym jeszcze doświadczeniem wpływającym ze wspólnotowej refleksji przeprowadzonej przed laty w pewnej grupie duchowości rodzinnej, pozwolę sobie przekartkować dawne notatki pochodzące z czasów, gdy nie zapoznałem się jeszcze z psychologią religijną, socjologią religii i katechetyką.

Kontekst religijnego przekazu przeznaczonego dla dzieci

Prologiem niech będzie rozprawka, którą jako narzeczeni, moja żona i ja, napisaliśmy dla naszych przyszłych, ewentualnych dzieci: myśl zrodziła się na ławkach uniwersyteckich, kiedyśmy pojmowali życie nie jako przypadek, bądź też szereg faktów i zdarzeń, ale jako urzeczywistnienie określonego planu. Skoro bowiem Pan objawił „tajemnicę mądrości Bożej, mądrość ukrytą, tę, którą Bóg przed wiekami przeznaczył ku chwale naszej” (1 Kor 2, 7), czyż nie powinniśmy przekazać naszym dzieciom, że również my czekaliśmy na nie i „igraliśmy” już z nimi wcześniej nim się pojawiły, i że byliśmy gotowi „zaryzykować” ich wolność tak, jak sam Pan „zaryzykował” naszą?

Sprawą najbardziej zasadniczą i delikatną, jaką mieliśmy przekazać łącznie z życiem, była sama struktura wiary, w obrębie której projektowaliśmy nasze życie biorąc na siebie odpowiedzialność „przyjścia z pomocą” Panu w przekazywaniu tegoż życia. Inicjatywa pochodziła od nas, ale nie była bezwzględnie naszą własnością: czyż mogliśmy się pokusić o „ukrycie i zatajenie” przed naszymi dziećmi tego „czynnika” i tego najgłębszego podłoża, które w naszej świadomości budziło zamiar ich zrodzenia?

Tu tkwi właśnie podstawa prawa i obowiązku rodziców przekazania dzieciom łącznie z życiem biologicznym i z opieką psychofizjologiczną „ram” kulturowych, w obrębie których życie to zostało pomyślane i przyjęte, albowiem dzieci otrzymują wraz z „faktem”

istnienia także, chociażby nawet tylko „prowizorycznie”, „racje” i perspektywy uzasadniające w jakiejś mierze dany wybór ludzki.

Jeżeli jednak nie jest wcale rzeczą łatwą, mimo postępów eugeniki, zrodzić dzieci cieleśnie, o wiele więcej trudów wiąże się z ich narodzinami duchowymi, albowiem duch jest wolnością, a więc zdolnością do stawiania pytań i do dawania na nie stanowczych odpowiedzi, kwestionujących także otrzymane dziedzictwo i plan pomysłany przez innych. Zresztą, jak uczył Tomasz z Akwinu, w pewnej chwili chłopiec „incipit esse suus”.

Wspomniane trudności nie usprawiedliwiają same przez się jakiejś inercji, lecz przeciwnie, pozwalają przewyciężyć dwa klasyczne niebezpieczeństwa: ograniczania się do „nie interweniowania” na płaszczyźnie religijnej, by nie *uzależniać* dzieci, i dążenia do *włączenia* ich we własną wizję życia. Postawiony przez Rousseau zarzut można w gruncie rzeczy przewyciężyć biorąc pod uwagę fakt, że nie chodzi tu o to, czy się uzależni dzieci na płaszczyźnie religijnej, lecz o to, *jaki* rodzaj zależności, czyli jakie ramy interpretacyjne rzeczywistości im się podaje po przekazaniu im życia, zakładając, że samo życie pozbawione swoich racji, uzasadnień i własnego znaczenia, nie jest życiem *ludzkim*, ani prawnie, ani faktycznie. Przeciwny z kolei zarzut da się przewyciężyć uwzględniając to, że wspomniane prawo-obowiązek dotyczy *przedkładania, proponowania*, a nie narzucania, albowiem nikt nie jest w stanie *patrzyć* czyimiś oczyma, o ile tylko jego władze krytyczne pozwalają mu na uniezależnienie się od świadectwa własnych rodziców i na „podjęcie” *ciężaru* odwoływania się do różnych źródeł poznania, wśród których znajduje się także wiara w Jezusa Chrystusa, który stwierdził m. in., że nikt nie może przyjść do Niego, jeśli go Ojciec nie pociągnie.

„Dziecięcy ateizm” i „tatusie, których się widzi”

Postawa rodziców troszczących się o religijne wychowanie swoich dzieci i starających się w związku z tym przekazywać im takie ujęcia, obrazy i przekonania, które *powinny* przejść przez sito ich władz krytycznych, wymaga równocześnie roztropności i odwagi, prostoty i „strategii” na czas krótszy i dłuższy.

Nie jest prawdą, że dziecko gotowe jest zawsze wierzyć we wszystko. Chciałbym przytoczyć w związku z tym niektóre „powiedzonka” mojego syna (3 lata): „Tatusiu, z kim mam rozmawiać, jeśli nikogo nie ma?” Byłem przeświadczony, że to oczywiste, iż w kościele człowiek się modli.

Gdy miał 3 i pół roku zachęcam go do modlitwy-wieczornej, po kolacji. Bawi się samochodzikami. Skłaniam go, by pomyślał

o Bogu, który jest „tak dobry”. „A dlaczego, co robi?” „Uczył wszystko, co istnieje, uczynił także nas” „A dlaczego nie pomaga biednym dzieciom?” „Bo chce, byśmy my o nich pamiętali”. „Ja nie mam czasu: muszę się bawić samochodzikami”.

Po sześciu miesiącach zachęcam go do modlitwy za chore dzieci. Odpowiada, że lepiej byłoby zwrócić się z tym do lekarzy niż do Jezusa. Dla ojca, który napisał rozprawę doktorską o Comte, był to cios ciężki: żywił przecież złudzenie, że udało mu się przezwyciężyć w swej pracy cały pozytywizm.

Starsza córeczka (6 lat) dała mi natomiast wielką satysfakcję prosząc, bym jej czytał o cudach Jezusa. Młodsza (4 lata) sprzeciżyła się z nią: „Ciebie interesują tylko cuda”. Laura odpowiedziała: „Tak, bo cuda są bardzo ważne. Słyszysz tatusiu, czy Sara nie mówi, że Jezusa nie ma?” Sara: „Na pewno nie ma. Przecież go nie widać!” Gdybyś jednak była dobrą, odczuwałabyś Go w sercu!” „Ale ja go nie czuję, więc go nie ma. A ty jesteś zła, bo robisz mi wymówki”. „Nie, to ty jesteś zła, bo się nie modlisz” „Ale lubię tatusia, bo jego się widzi”.

Wróćmy do Attilio (6 lat). Po okresie bardziej intensywnych rozmów religijnych i po kilkudniowym milczeniu na ten temat, zaczyna mniej więcej następująco: „Nie wierzę, że Bóg stworzył świat. Jak mógł to uczynić, jeśli nie było niczego? A jeśli nie było niczego, to nie było także jego”.

Parmenides nie miałby w tym wypadku nic do powiedzenia. Nie wiem, czy moja neoscholastyka podtrzymała mnie w szukaniu jakiejś właściwej odpowiedzi; odczułem przykre zakłopotanie. Niemniej jednak po dwóch dniach wydarzył się następujący epizod w okolicznościach mniej rzadkich i bardziej emocjonalnych.

Odwołanie się do „innego ojca”

Po pewnym przewinieniu Attilio, nie ukrywając zamiaru, by mu przebaczone, nie tylko rezygnuje z jedzenia ulubionych ziemniaków, lecz przetrząsa torebkę mamy i wyjmuje z portfela wielki pieniądz, który stara się następnie włożyć do pudełeczka dla ubogich. Matka pomaga mu w tej czynności, choć celowo protestuje. Attilio czuje się tym dotknięty i odchodzi płacząc do swego pokoju. Idę za nim i pytam o powód płaczu, a on kilkakrotnie powtarza: „Jest to bardzo ważne, wie coś o tym inny ojciec, którego ty znasz, ale ty nie musisz wiedzieć. Jeśli chcesz, powiedz mu, niech porozmawia z mamą”.

Skłaniam go w końcu do tego, by sam porozmawiał z tym „innym ojcem” Wyjaśnia mu więc przyczynę swego płaczu: „Mama jest niezadowolona z tego, że daję pieniądze biedakom”.

„To nieprawda — odpowiadam — mamusia się cieszy...” „To dlaczego się nie uśmiechnęła?” „Bo się bała, że pogubisz jej dokumenty z portfela. Zresztą biednym mogłeś dać własne pieniądze, a nie brać ich od mamy”. „Ale ja mam mało pieniędzy” „Masz rację. Myślę, że mama cię zrozumie, ale innym razem winienesz ją poprosić”

Nastąpił pokój, odżyła więc wzajemna wraz z tym matczynym „uśmiechem”, którego brak wywołał niepokój i zaskoczenie.

Podczas takiej „ciemności komunikatywnej”, której ojciec ziemski nie jest w stanie rozwiązać, ów „inny ojciec” jawi się jako wyzwoliciel, a więc jako ten, który rozumie mimo niejasności i nieporozumień i zapewnia bezpieczeństwo w niepewności, albowiem umie „czytać w sercach”, w których ojciec i matka ziemska czytać nie potrafią. Oto przykład spontanicznej modlitwy, w której pojawia się Bóg wyzwoliciel: „Panie, spraw, bym się stał mądrzejszy niż teraz, bo wtedy mój tatuś nie będzie mnie tak beształ”

Zanim pojawi się ów „wielki wścibski”, który kontroluje małość zerkając z sufitu niby jakiś gospodarz, Ojciec, przebywający w niebie, zostaje już uwewnętrzniony jako najwyższa instancja, do której można się odwoływać w obliczu niepowodzeń związanych z wartościami ziemskimi. Jest to możliwe nawet wtedy, gdy dziecko nie zdołało jeszcze pojąć i przyswoić sobie myśli o Bogu stwórcy. Zrozumienie intelektualne nie podąża koniecznie tą samą drogą co rozumienie uczuciowe: obu towarzyszą inne rytmy rozwojowe.

Zrozumiała także jest rzeczą, że czteroletnia dziewczynka, ogłoszona przez swą starszą siostrzyczkę, która zabiera jej ojca z „wymówką”, że będzie on jej opowiadał o cudach, odrzuci transcendentną „pociechę”, wyjaśniając, że woli „ojców, których się widzi” od „ojców, których się nie widzi”.

Oscylowanie między „dwoma ojcami”

Zresztą nawet ta sama starsza córka, nastawiona bardziej mistycznie, mając 10 lat wyraziła, choć innymi słowami, podobne przekonanie dając pierwszeństwo ojcu widzialnemu: „Tatusiu, ty jesteś dla mnie Jezusem, ale się boję, bo jeżeli umrzesz, nie wiem, komu mam się powierzyć”.

Droga prowadząca do odkrycia ojcostwa Bożego, ojcostwa nie wyalienowanego, nie „przerywanego”, pozostającego w ciągłości-zerwaniu z ojcostwem ziemskim, nie jest możliwa do opisanego: prowadzi ona poprzez światła i ciemności, uczuciowe wzloty, utożsamienia i pęknięcia, podchwytliwe rozumowania i własne wyznania wiary.

Mając 10 lat Attilio zapytuje mnie wprost: „Skąd możemy o tym wiedzieć, że Jezus stworzył świat?” „Ponieważ On sam nam to powiedział” — odpowiadam bez większego namysłu. „To już wiedziałem: powiedziała mi to mama i przeczytała mi Pismo św.” Następnie wyznaje otwarcie: „Wierzę w to, gdyż tak wiele ludzi o tym mi mówiło: ty, mama i ks. Franco”

Jest to okres, w którym utożsamienie się z nami, rodzicami, staje się największe. Dlatego też uważa za „wariatkę” swoją siostrzyczkę 15-letnią, która nie chcąc przeczytać mego artykułu stwierdza, że przeczytałaby go, gdyby tego nie napisał jej ojciec; i gdybym nawet nie był jej ojcem, życzyłaby mi także wszystkiego najlepszego. Napięcia młodzieńcze utrudniają zaakceptowanie tego ojca, którego przed 15-tu laty traktowało się „jako Jezusa”.

Problemy związane z „fizyką niebieską”

Obok zgody „ze względu na autorytet” występuje równoległe chęć „zrozumienia” Mając 5 lat Attilio mnie zapytał, co robi Bóg, by być widzianym, skoro Go nie widzimy. Odpowiedziałem przykładem zaczerpniętym z doświadczenia zdobytego wspólnie w górach: gdy wróciliśmy do domu, mama przywitała cię z podwórza, ale jej nie widzieliśmy, gdyż szyba wieczorem zamieniła się w lustro przy zapalonym świetle w pokoju. Wówczas zapytał, czy Bóg widzi kolory tak samo, jak my, ludzie, czy też inaczej, „bo jest tak oddalony”. Jest to pytanie Galileuszowe, dotyczące relacji zachodzących między właściwościami pierwszorzędnymi i drugorzędnymi. Odpowiedziałem na nie, że Bóg nie jest tak bardzo odległy, owszem, jest nam bardzo bliski, jest wszechobecny. Zaczął machać rękami pytając: „Czy mogę Go dotknąć?” Myślenie poprawne i logiczne, a zarazem tragiczny brak precyzji języka, który — starając się być zrozumiałym dla dziecka — naraża się na każdym kroku na sprzeczności.

Nabrawszy odwagi w ręce uczyniłem krótki wykład na temat różnicy zachodzącej między duchem a materią, wiecznością i czasem.

„Jeżeli się więc On nie narodził — dokończył Attilio, wprowadzając mnie w zdumienie — to istniał zawsze: nie było takiej chwili, w której by nie istniał”. Nie jest to jeszcze pojęcie „bytu koniecznego”, zawiera ono jednak w swym oryginalnym ujęciu coś z Parmenidesa: będzie to ten sam parmenidyzm, który po 6 miesiącach — jak widzieliśmy — gdy Attilio skończy 6 lat, usprawiedliwi jego niewiarę wobec *ex nihilo* — *nihil*: „jeśli nie było niczego, to nie było także jego”

Bóg, którego trzeba słuchać, któremu należy dziękować, którego trzeba udowodnić

W 10-tym roku życia, przy całkowitym utożsamieniu się ze swym ojcem, przeżywa wymiar moralny: „Nie potrafię nie wierzyć w Jezusa: nawet gdy jestem sam i gdy czynię coś niedobrego, coś mi mówi, że błądzę” Jezus w tym wypadku zajął dokładnie miejsce demona Sokratesowego, który interweniuje sygnalizując czyny, których nie powinno się popełniać. Nie stanowi zagrożenia; spełnia jedynie służbę orientującą.

Podobnie Sara (12 lat), dowiedziawszy się o tym, że jeden z moich przyjaciół jest ateistą, zapytała zaniepokojona: „Co on robi, gdy ma podziękować Panu? Komu dziękuje?” Również i w tym przypadku nie chodzi o zagniewanego pana, który karze za niewierność; mamy tu do czynienia ze świadomością ludzką, szukającą „kogoś, komu winno się podziękować”. Attilio stawia pytanie: „Co się z nim dzieje, gdy idzie do nieba?” Odpowiadam komentując trójwiersz Dantego: „Lecz patrz: niejeden wykrzykuje Chrysta, co go w dzień sądu będzie tak daleki, jak bliskim inny, chociaż nie znał Chrysta”³. Kto jest daleki od Ojca, niekoniecznie Go odrzuca: w jaki sposób i kiedy dojdzie do „spotkania”, tego jednak nie wiemy. Attilio dochodzi sam do wniosku, że mój przyjaciel jest niejako sierotą, która mniema, że nie posiada ojca; kiedy jednak pójdzie do nieba, ucieszy się, gdyż Go spotka.

Laura (9 lat) w sytuacji podobnej poszła znacznie dalej w swym zaciekawieniu, posługując się racjami psychologicznymi, antropologiczno-kulturowymi i porównawczymi. „Dlaczego nie miałyby być nasza religia bajką lub wymysłem? Czy nie mógłbyś w ciągu roku uczynić mnie dojrzałą, ażeby mi powiedzieć, że także Jezus jest bajką, jak to uczyniłeś z św. Mikołajem?” Staralem się odróżnić baśń od historii, fantazję od rzeczywistości, legendę od Ewangelii. Laura jednak nalega: „Czy nie mógł być kuglarzem albo czarownikiem?” Podkreślam więc, że chcąc dać świadectwo, iż Jezus jest Synem Bożym, poszli na śmierć Jego przyjaciele, którzy, zanim się o tym sami przekonali, byli tak bardzo bojaźliwi, że nie odważali się nawet ukazać przed publicznością.

Laura zarzuca, że wielu ludzi oddawało życie za swą wiarę; także muzułmanie. Nasuwa się na myśl Ksenofont. „Etiopczycy mówią, że ich bogowie są czarni i płaskonosi, Trakowie przeciwnie, że bogowie mają oczy błękitne i czerwone włosy”

³ *Boska Komedia* (przeł. E. Porębowicz), Warszawa 1965, p. 19, w. 106—108, s. 419.

Wiara jako otwarcie się na Absolut

Dialektyka ojcowska została wystawiona na próbę: ratuję się wydarzeniem z Natanaelem (J 1, 45-49), który nie był wcale skłonny podzielać entuzjazmu Filipa co do bóstwa Chrystusa. Jego krytyczne nastawienie nie przeszkodziło mu jednak dojść do wiary, co więcej, można by nawet powiedzieć, że stało się ono drogą, dzięki której Chrystus osobiście się objawił temu „Izraelicie, w którym nie ma podstępu”

Ujawnił się w tym momencie najbardziej delikatny punkt wiary rodzicielskiej: nie jest naprawdę ważne to, czy jesteśmy uczniami Chrystusa lub Mahometa, ważne jest to, byśmy byli gotowi uznać własne ograniczenia, byśmy się starali o prawdę i dobro w całej pełni, z tym jedynym zamiarem, by iść tylko i wyłącznie za prawdziwym Bogiem. Dlatego też, krocząc za Chrystusem, nie czujemy się sekciarzami: gdybyśmy nimi byli, czynilibyśmy z Chrystusa jakieś bóstwo, idol, i odłączalibyśmy się od innych ludzi, gdy tymczasem sam Chrystus otwiera się na wszystkich, z prawdziwym szacunkiem i miłością do każdego z ludzi.

Motywy opowiedzenia się za Chrystusem jest to, że ma On słowa życia wiecznego — jak wyznał to Piotr w odpowiedzi na pytanie: „Czyż i wy chcecie odejść?” Odpowiedź została umotywowana wykluczeniem jakiegokolwiek innej realnej alternatywy poza Chrystusem: „Panie, do kogóż pójdziemy?” Co może oznaczać: poszlibyśmy gdzie indziej, gdybyśmy tam znaleźli „słowa życia wiecznego”; skoro jednak dały się one słyszeć tylko od Chrystusa, Piotr zdecydował się za Nim kroczyć, a w ślad za nim całe chrześcijaństwo od 2000 lat. Nie jest to pomyłka ani jakaś magia, ale doświadczenie oparte na autentycznym i bezstronnym poszukiwaniu. Dlatego też nie było wcale rzeczą trudną odpowiedzieć na pytanie Attilio: „kto jest ważniejszy: Jezus czy Nixon?” Trudniej natomiast było zbić jego stwierdzenie: „Dla mnie najważniejszymi są Bóg i zabawki. Bóg jest też magiczną zabawką”. A to dlatego, ponieważ w jego horyzoncie poznawczym zabawka posiada cechy przedmiotu absolutnego, dającego wielką radość, tak jak byt Parmenidesa.

O tego typu psychologii myślał chyba Froebel wypracowując teorię „darów” (zabawki o różnych kształtach geometrycznych), pozostającą w ścisłej relacji z schellingowską religijnością panteistyczną. Obecnie powraca wciąż pytanie: czy w niebie będzie można mieć lalki i maszyny? Bez nich bowiem niebo nie jest wcale rajem.

W rok później Attilio (6 lat) przenosi to samo stwierdzenie na

swego serdecznego przyjaciela: „Filip jest moim Bogiem” Matka zaprzecza: „Co mówisz? Filip jest dzieckiem i tylko twoim przyjacielem” W tym momencie pada odpowiedź, która z schellingowskiego panteizmu przenosi natychmiast rozmowę w klimat Ewangelii: „Tak, ale sam Jezus powiedział: Cokolwiek czynicie jednemu z tych małych, mnie to czynicie”.

„Krasowa” złożoność formowania świadomości religijnej

Czy to możliwe, by jedno i to samo dziecko chciało się upewnić, że Nixon nie jest Bogiem, a równocześnie stawiało pytanie, czy w każdej stolicy świata przebywa papież? Jest rzeczą oczywistą, że złożony wątek religijnej koncepcji świata nie pojawia się od razu w myśli i w świadomości dziecka. Tak więc na przykład, nawet dowiedziawszy się od „nowoczesnych” rodziców, że braciszek się rozwija w łonie mamusi, bo odczuwalne są jego poruszenia, Laura wyczekiwała nadal bociana: zapis realistyczny dołączał się do bajecznego, wcale go nie zastępując, podobnie jak to ma miejsce w przypadku zapisu teologicznego, który zespała się z zapisem magiczno-animistycznym, nie zastępując go w pełni. Istnieją różnorodne nawarstwienia i zdobycze, które przybierają postać ostatecznych, ale nie są takimi w rzeczywistości; podobnie rzecz się przedstawia jak z nieoczekiwanymi i subtelnymi rozstrzygnięciami, stanowiącymi owoc długiej, zmuśnej i podziemnej pracy, których trudno byłoby się spodziewać.

Niekiedy jest się świadkiem prawdziwych odkryć będących faktycznym przewyciężeniem wyobrażeń dziecięcych. Mając lat 10 Attilio w dzień Wielkanocy zapytuje mnie, w jaki to sposób „grzechy spadły na Jezusa, powodując Jego cierpienie”, skoro On wcale w nie nie wszedł. Odpowiadam stwierdzeniem, że gdy my czynimy komuś źle, wówczas nie tylko wyrządzamy szkodę jemu i sobie, stając się tym samym ludźmi złymi, ale także narażamy na szwank plan miłości, jaki Pan zamierzył dla nas, zstępując na świat. W istocie więc On sam cierpi, podobnie jak ja cierpię wówczas, gdy moje dzieci walczą ze sobą, wystawiając na próbę całą rodzinę. „Ah — zawołał Attilio — nie rozumiałem tego!” I dodał, że ilekroć przychodzi mu zrozumieć coś z Jezusa, czuje się o wiele lepszym.

Długa jest droga wiodąca od „s sofistycznej” niewiary drugiego dzieciństwa, któremu towarzyszą zazwyczaj gwałtowne objawy sprzeciwu, bądź też dumne stwierdzenia dotyczące własnej tożsamości, do spokojnej religijności dziecinnej, opartej na bardziej dojrzałych odniesieniach do rodziców. Miał zapewne 3 latka, kiedy to, widząc go uzbrojonego jak srogi żołnierz, siostrzyczka nie po-

trafiła się powstrzymać od ucałowania go z uniesieniem: zareagował uderzeniem; gdy zaś starałem się go przekonać, że ojcowie mają prawo całować swoje maleństwa, odpowiedział, że żołnierze nie mają ojców, lecz dowódców. W kilka dni potem pozwoliłem mu kręcić się na głowie tak, jak czyni to cyrkowiec: z taką samą dumą w głosie oświadczył, że nie jest on żadnym dzieciakiem, ani nawet dzieckiem, ale „panem”

Tożsamość dziecka a rola rodziców

Zagadnienie „godności” dziecięcej można by rozwijać co najmniej w dwóch kierunkach: chodzi o moment przeciwstawienia się człowiekowi dorosłemu (wymowne jest to westchnienie: „jakże szczęśliwi są dorośli, że nie muszą słuchać dzieci”) oraz o dziecięce szukanie pomocy, światła, aż do zapewnienia sobie własnej tożsamości. Oto jeden przykład: „Tatusiu, dlaczego nie potrafię stać prosto?” „Tatusiu, dlaczego nic nie rozumiem?” „Tatusiu, moje, moje, ale dlaczego mi nie powiesz, kim ja sam jestem?” Wyniosła pewność „pana” załamuje się wobec tego podstawowego pytania, na które rodziciel odpowiada sformułowaniem łączącym w sobie tysiącletnią mądrość uczuciową i wielką niemoc: „Jesteś synkiem twojego tatusia i twojej mamusi”.

Jak Adam nadawał nazwy rzeczom, tak ojciec daje swe nazwisko dziecku, ukazuje mu „kontekst” rodzinny, społeczny, kulturowy, w którym maleństwo winno odnaleźć własną tożsamość. Poprzez to „ukazywanie”, które nie jest wcale kwestią przypadku, rodziciel „wychowuje” w tym znaczeniu, że „uzasadnia” życie, które przekazał.

Poczucie niemożności wynika z faktu, że same „uzasadnienia” nie są nazbyt mocne, albowiem ojciec, który daje dziecku swe nazwisko, sam także je otrzymał; ten, kto „uznaje” dziecko, sam przedtem także został uznany; i tak przechodzi ta kolejność z ojca na ojca, nie natrafiając na to podstawowe „ojcostwo”, które *było* by w stanie odpowiedzieć w pełni na pytanie dotyczące tożsamości, uwzględniając fakt, że każdy z nas, o ile tylko wzrasta, zawsze stanowi w jakiejś mierze tajemnicę i zagadkę dla samego siebie.

Można by ubocznie zauważyć, że chodzi tu o jedno z podstawowych stwierdzeń *Redemptor hominis*: człowiek, który nie rozpoznaje siebie w rzeczach, które czyni, otrzymuje decydujące potwierdzenie swojej godności i swojej wartości w objawieniu tego „zainteresowania”, jakie Bóg ma względem niego; posuwając się aż do ofiarowania swego jedyne go Syna, Bóg chciał zdobyć jego przyjaźń, nie naruszając jego wolności.

Ojciec ziemski, niezdolny do znalezienia w samym sobie ojco-

stwa, które by się samo przez się uzasadniało „dostrzegając” w pełni swego syna w samym sobie, neguje własną wszechmoc i doskonałość, przyjmując, a nawet prowokując — choć roztropnie — stopniowy upadek ojca-boga w umyśle syna-dziecka, by otworzyć tym samym drogę prowadzącą w sposób bardziej dojrzały do Boga-ojca w sercu syna-młodzieńca.

Ojciec „fantasmatyczny” i ojciec „symboliczny”

Odrzuciwszy od samego początku rolę — by posłużyć się językiem Paula Ricoeura⁴ — ojca „fantastycznego” (wszechmocnego, pana, sędziego i rywala, którego należy usunąć ze swej drogi na wzór Edypa), rodziciel stara się być coraz to bardziej „ojcem symbolicznym”, odsyłającym do bardziej podstawowego ojcostwa, zgodnie ze wskazówką Jana Chrzciciela: „oportet me minui, illum autem crescere”.

Takie semantyczne i uczuciowe оголошение, nie obywające się bez urazów z jednej i drugiej strony, staje się szczególnie problematyczne w społeczności, którą Mitscherlich ze Szkoły Frankfurckiej określił mianem „bez ojca”. Młody człowiek, w ramach swych dążeń „sekularystycznych”, demistyfikuje ojca traktując go jako „towarzysza”, a tym samym pozbawiając typowej dla niego roli symbolu wyższego i ostatecznego ojcostwa, która stanowi — być może — największą „przysługę”, jaką ojciec ziemski może wyświadczyć swoim dzieciom. Kiedy moje dzieci dorastające zaczęły nazywać po imieniu mnie i moją żonę, najpierw zaczęliśmy się śmiać, jak gdyby schlebiała nam ta zażyłość, która zdawała się burzyć nasze role „społeczne”, przeobrażając nas, rodziców, w przyjaciół i rodzeństwo; następnie jednak zaprotestowaliśmy zdecydowanie przeciwko pozbawieniu nas tytułu ojca i matki. Zaistniała trudna sytuacja wymagająca uciążliwych dyskusji oraz poszukiwań prowadzonych niemal po omacku co do zmiany, która byłaby wzajemnym wzbogaceniem, a nie spłyceciem.

Jeżeli mały Attilio w obliczu trudności komunikatywnych zwracał się do „innego ojca”, to obecnie jego ziemski ojciec i ziemska matka musieli szukać w modlitwie przejścia pozwalającego znaleźć drogę, po której kroczą ich dzieci już „wielkie”, a tak inne i tak tajemnicze w porównaniu z tak bardzo przejrzystym dzieciństwem. „Panie, w pewnych chwilach nie poznaję już moich dzieci, nie rozpoznaję siebie w nich: dopomóż mi, bym je kochał, niczego w zamian nie pragnąc, Ty, który znasz je lepiej ode mnie

⁴ P. Ricoeur, *Il conflitto delle interpretazioni*, Milano 1978.

i kochasz bardziej bezinteresownie ode mnie. Wesprzyj mnie, bym nie upadał na duchu i nie sprzeniewierzał się Tobie ani sobie. Dopomagaj nam obojgu w rodzeniu naszych dzieci i spraw, byśmy nie szukali siebie samych w obrazie, jaki one starają się utworzyć dla własnego życia”.

Któregoś dnia pada jasna wypowiedź: „Tatusiu, sądzę, że zrozumiałem twoje idee. Zabierz mi trochę wolności, ale bądź przewodnikiem na autostradzie” Nie wydaje się to zbyt wielkim osiągnięciem dla ojca pedagoga: odzyskana jednak została funkcja „symboliczna”; a odzyskano ją w wymiarze służby, która warunkuje oraz sprzyja pewnemu procesowi, nie zamierzając wcale „nim kierować” Jeżeli osiągnięcie to nie jest wymuszone, ale staje się owocem zrozumienia i akceptacji, wówczas „zawód” przewodnika przestaje już być tak bardzo zdyskwalifikowany: zwłaszcza gdy się uświadomi sobie, że nie będzie on trwał długo, albowiem zaczyna się właśnie nowy etap przygody ojcowskiej i macierzyńskiej, a także... dlaczegożby nie? przygody „synowskiej”.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC